

Blżej

„Tchnienie” - aut. Duncan Macmillan - reż. Patryk Warchoł - Teatr im. Wilama Horzycy w Toruniu

Na potrzeby Tchnienia Duncana Macmillana w reżyserii Patryka Warchoła foyer na drugim piętrze Teatru Horzycy w Toruniu zabudowano aranżacją rodem z salonów IKEA (scenografia Anny Kolaneckiej): przytulnie umeblowany korytarzyk w głębi scenicznej przestrzeni, sypialniane łóżko bliżej krzesół rozstawionych dla kameralnej widowni. Przy każdym z elementów tej pastelowej układanki wisi metka z sympatycznie, może nawet trochę baśniowo brzmiącą nazwą. Całość stanowi funkcjonalny, gotowy na dowolne przemodelowanie kolaż. Jakąkolwiek konfigurację wybierzesz – zawsze będzie wygodnie, schludnie i miło, obiecują Nödmast i Busenkel. I tak to się zazwyczaj zaczyna: bardzo chcemy w te obietnice wierzyć.

W programie do toruńskiego przedstawienia przedrukowano tekst, którym Macmillan opatrzył adaptację swojej sztuki w waszyngtońskim Studio Theatre. W tym wstępie sprzed niemal czterech lat przeczytamy o intencji dramatu „neutralnego węglowo” – pozbawionego filtrów, spuszczonego z oka autocenzury, nieokrzęszonego w brzmieniu i sensach budujących go słów. I to się na pewno udało, Warchoł tę surowość sztuki Macmillana poczuł i bardzo umiejętnie przeniósł na deski toruńskiej sceny. Oglądając jego opowieść o parze współczesnych „okołotrydziestolatków”, nie sposób pozbyć się perspektywy osoby podglądającej – podpatrującej spontaniczność cudzej codzienności, tej nie zawsze zgrabnej, często przegadanej i nudnej. Ona (Julia Sobiesiak-Borucka) i On (Maciej Raniszewski) bywają impulsywni, niezręczni, mówią zbyt wiele i za szybko, milczą za długo. Podglądamy ich losy – na podstawowym, fabularnym poziomie bardzo „ustandaryzowane” – w poczuciu, że nic nowego się tu nie wydarza, że wszystko to już widzieliśmy, słyszeliśmy. A jednak finalnie ta historia niebywale porusza, przede wszystkim wielością zapisanych w niej katastrof, końców. Tych fundamentalnych, najbardziej dramatycznych i drastycznych, ale też tych najcichszych, codziennych, banalnych. Prywatnych końców świata, których nie da się opowiedzieć, a które można jedynie poczuć. Tchnienie jest bliżej naszej skóry, tej ludzkiej i niezdolnej powtarzalnej, bardziej niż nam się to na początku opowieści o Niej i o Nim może wydawać.

Wychodząc z Teatru Horzycy, nie mogłam przestać myśleć o dwóch kontekstach, które toruńska opowieść przywołała. Pierwszy to kulturowa ciekawostka. Kilka dni przed premierą przedstawienia Warchoła swoje trzydzieste obchodził filmowy klasyk końca XX wieku, *Before Sunrise* (Przed wschodem słońca) na podstawie scenariusza i w reżyserii Richarda Linklatera, z pamiętnymi rolami Julie Delphy i Ethana Hawke’a. Kameralna opowieść o spontanicznej wędrownicy po ulicach Wiednia, w którą udaje się para nieznajomych. Ich piętnastogodzinna przygoda to właściwie niekończąca się rozmowa, ale też i swego rodzaju abstrakt z pierwszego etapu romantycznej relacji, służącego głównie (roz)poznaniu. W kontekście toruńskiego Tchnienia – postaci grane przez Delphy i Hawke’a realizują wszystko to, co zapewne stało się udziałem Jej i Jego, zanim zobaczyliśmy ich przy kasie szwedzkiego sklepu. Drugie skojarzenie uruchomiło samo przedstawienie, a właściwie jego audiosfera (Nikodem Dybiński) i będąca jej częścią piosenka *The Blower’s Daughter* Damiena Rice’a. Ten hit sprzed lat odesłał mnie z kolei do *Closer* (Blżej), filmu w reżyserii Mike’a Nicholasa, adaptacji kultowej sztuki Patricka Marbera o tym samym tytule. Obraz opowiada historię czterech osób (dwóch kobiet i dwóch mężczyzn) uwikłanych w niejednoznaczną, naznaczoną sprzecznymi emocjami i intencjami relację. Myślę, że oba te skojarzenia tak silnie we mnie zarezonowały, ponieważ toruńskie przedstawienie ma intensywny vibe tych specyficznych narracji z przełomu wieków – chce być opowieścią o miłości, która w wielu momentach w miłość wątpi; chce

przedstawić związek „idealny”, ale zarazem sabotuje większość prób zbudowania tego utopijnego konstruktów. Tchnienie jest zabawne i smutne jednocześnie. W wielu momentach przechyla się w stronę cikliwego romansidła, by po chwili porazić przenikliwością w obrazowaniu ludzkiego cierpienia.

Dość nietypowa sceniczna przestrzeń marginesów teatralnego foyer sprzyja atmosferze kameralności, która w Tchnieniu szybko przeradza się w intymność, ujawniającą w powiększeniu i ze szczegółami życie Jej i Jego. Ich otwierająca przedstawienie rozmowa – w kolejce, z naręczem wnętrzarskich gadżetów w ramionach – dotyczy tematu potencjalnego potomstwa. On rzuca to hasło niemal mimochodem, Ona je z lękiem podchwytuje. Życie wjeżdża na nowy tor, trudny, nieprzewidywalny. Równolegle do fabularnej warstwy przedstawienia konstytuują się przed nami obie postaci, ze sceny na scenę stają się coraz bardziej mozaikowe. Julia Sobiesiak-Borucka i Maciej Raniszewski zaczynają bycie swoich postaci w scenicznej przestrzeni od dość nietypowego gestu – odślonięcia całej ich pretensjonalności. Ona irytuje swoją kompulsywną paplaniną, on pozą „na uśmiechniętego milenialsa”. Prychamy na ich męczące „gdybania”, nudzą nas ich patetyczne, napompowane popkulturową papką dyskusje. Aż nagle wszystko się rozpada. I cała opowieść wchodzi na inny poziom. Katastrofa, słowo-klucz, zapisane gdzieś na marginesach tej historii już na samym wstępie, nabiera zupełnie nowego znaczenia – otwiera horyzont doświadczeń wspólnych i apokaliptycznych, a zarazem dotyka tego, co najbliższe pojedynczej osobie.

Wiele dzieje się w tej opowieści na poziomie samego słowa, dlatego cieszę się, że reżyser i współpracujący z nim zespół nie obudowali Tchnienia nadmiarowością scenicznych środków. Przedstawienie płynnie przechodzi ze sceny w scenę, ciekawie aranżując przestrzeń, budując minimalistyczne, ale bardzo sugestywne w swoim surowym pięknie obrazy. Estetykę przełomu lat dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych podbijają z pewnością fragmenty filmowe (Ewa Borowska), kręcone w lokalnej przestrzeni, bliskie twarzom bohaterów. Momenty, które odrywają opowieść od jej namacalności i przenoszą w sferę tego, co potencjalne, bardzo wieloznaczne i równie mocno emocjonalne to te w choreografii Grzegorza Łabudy (także autora świetnych kostiumów). Nie siłą się na ruchową spektakularność, ale sprawnie dopowiadają narrację, chwilami zachwycając poetyckością. Im zresztą bliżej końca przedstawienia, tym bardziej niejednoznaczny staje się jego krajobraz. I znów – finałowe fragmenty przypomniały mi filmowe obrazy sprzed trzydziestu lat, jednocześnie przewidywalne i poruszająco zaskakujące w swoim gorzkim posmaku.

Tchnienie to ten rodzaj przedstawienia, który na polskich scenach rzadko oglądamy. A jeśli już, to często w miernym wydaniu. Toruńska adaptacja sztuki Duncana Macmillana to odmienny przypadek, to przedstawienie bliskie intencji tekstu, niezwykle bliskie jego postaciom (bardzo dobre, choć wymagające jeszcze dotarcia się z przestrzenią role Sobiesiak-Boruckiej i Raniszewskiego), które Patryk Warchoł „filmuje” bez upiększających czy starających się o łaskawość publiczności filtrów. Wychodzimy z tego przedstawienia dziwnie pogubieni. Właściwie nic się nie stało. Jak rzewnie śpiewa irlandzki artysta: „And so it is / Just like you said it would be / Life goes easy on me / Most of the time”. A zarazem – chyba stało się tu niemal wszystko.

Anna Jazgarska
teatralny.pl
5 lutego 2025